

Zaolzie wciąż żywe, czyli spotkanie z autorem książki Hospicjum Zaolzie

Data publikacji: 7.12.2014 15:00

- Ostatni raz taki tłum przyszedł do Książnicy, gdy organizowaliśmy spotkanie z Ewą Farną - zauważył witając gości zorganizowanego 5 grudnia spotkania z Jarosławem Jot-Drużyckim dyrektorem Książnicy Cieszyńskiej Krzysztof Szelong. Sala na 90 osób była pełna, a spóźnialscy musieli zająć miejsca na korytarzu. Dowodzi to jasno, że temat Zaolzia interesuje mieszkańców regionu. Wśród słuchaczy dostrzec można było zarówno mieszkańców prawego, jak i lewego brzegu granicznej rzeki.

Na sali nie zabrakło wielu znamienitych postaci interesujących się Zaolziem, jak choćby poseł Aleksandra Trybuś. Przyszło też wielu mieszkańców obu części regionu po prostu zainteresowanych tematyką Zaolzia, zwłaszcza jego współczesnego obrazu i przyszłości.

- **O ile gośćmi wcześniejszych spotkań o Zaolziu byli Zaolziacy, rozmawialiśmy o Zaolziu z Zaolziakami, to dzisiaj porozmawiamy o Zaolziu z człowiekiem, który nie tylko nie pochodzi z Zaolzia, ale także nie jest tu, stela** – przedstawił warszawiaka Jarosława Jot-Drużyckiego, autora zbioru reportaży o pt. „Hospicjum Zaolzie” dyrektor Książnicy Cieszyńskiej, w której to zresztą instytucji autor rozpoczął swą przygodę ze Śląskiem Cieszyńskim, a więc także z Zaolziem. – **Autor niepozornej książeczki, za to stanowiącej, w mojej ocenie, jedną z najtrafniejszych diagnoz stanu polskośći na Zaolziu** – dodał Krzysztof Szelong.

Dyskusję poprowadził Michael Morys-Twarowski, natomiast obszernie wydanej w wędryńskim wydawnictwie Beskidy książki przeczytał dyrektor Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, aktor Karol Suszka. - **Ostatnio ktoś rzucił pół żartem, pół serio, że Jot osiągnął najwyższy stopień wtajemniczenia, ponieważ potrafi przedstawić Zaolziaka Zaolziakowi, którzy się nie znali** – krótko acz treściwie scharakteryzował autora „Hospicjum” Michael Morys-Twarowski. W tym tkwi właśnie cały urok i zarazem wartość poznawcza książki, że autor miast na akademickich badaniach skupia się przede wszystkim na ludziach. To poprzez ludzi, spotkania, rozmowy z nimi poznaje region, który opisuje. Rozmowy takie zwyczajne, ludzkie, przy kuflu piwa miast przy kwestionariuszu ankiety, dzięki czemu to, czego się dowiaduje jest szczere, prawdziwe i pozwala stworzyć prawdziwy, żywy obraz opisywanego regionu. - **Jeżeli ktoś chce poznać jakiś region myślę, że powinien rozpocząć od poznawania ludzi. Bo człowiek jest najważniejszy** – odpowiedział Jot zapytany, od czego zaczął wgrzyzać się w specyfikę Śląska Cieszyńskiego i Zaolzia.

Michael Morys-Twarowski zauważył, że po lekturze książki można dojść do wniosku, że nie ma jednego Zaolzia, a Jot przeprowadza czytelnika przez trzy Zaolzia: czeskokieszyńskie, najbardziej znane mieszkańcom wschodniej części regionu, ale też to trochę zamknięte jak ostatnia wioska Gallów w Asteriksie i Obeliksie – okolice Jabłonkowa, góralskie Zaolzie tętniące jeszcze polskością, oraz Zaolzie smutne w opisie – Karwina, doły, tereny zniszczone przez bardzo ekstensywną gospodarkę.

Z sali padały różne pytania, uwagi, rozwinęła się dyskusja. Słuchaczy interesował sam wybór tytułu. – **Dlaczego hospicjum?** –apytywano.

- **Samo słowo hospicjum zmusza do zastanowienia się. Mieszkańcy Zaolzia zastanowią się, zapytają sami siebie „czy faktycznie my jesteśmy w umieralni?”** – stwierdził autor. Zapytany o to, jak przewiduje przyszłość Zaolzia założył, że możliwości jest kilka. Może nastąpić czechizacja, może powstać grupa regionalna ludzi, którzy będą czuli swoją odrębność wobec i Walaska, i Wołoszczyzny, Północnych Moraw i polskiej części Śląska Cieszyńskiego. I właśnie ta ostatnia opcja wydaje się mu najbardziej prawdopodobna.

Małgorzata Rakowska, prezes Miejscowego Koła PZKO Czeski Cieszyn Centrum przyznała, że podczas lektury książki się popłakała, ponieważ otworzyła jej oczy. – **Człowiek czuł, że jest źle. Kiedy zakładałam Towarzystwo**

Nauczycieli Polskich w 1991 roku było trzy tysiące dzieci w polskich szkołach, a za 10 lat już było tylko 1600. I tak jest do dnia dzisiejszego. Czyli myśmy to wiedzieli, zdajemy sobie z tego sprawę, ale całe życie człowiek poświęcił walce o polskość, zwłaszcza my, nauczyciele. A teraz ty powiedziałaś nam, że rzeczywiście to jest prawdą i przyjechałeś po to, żeby zobaczyć, jak umieramy. I to mnie najbardziej zasmuciło i zdałam sobie sprawę z tego, że rzeczywiście tak jest. I będzie coraz gorzej, niestety. Po swoich doświadczeniach stwierdzam, że rzeczywiście do czechizacji dojdzie - mówiła Małgorzata Rakowska.

A może właśnie nie dojdzie? Może Zaolziacy, między innymi dzięki takiemu brutalnemu otwarciu im oczu, jak ta książka, wezmą się w garść i powiedzą: „a my im wszystkim udowodnimy, że przetrwamy!!!”? Zresztą zdaniu Małgorzaty Rakowskiej sprzeciwiła się inna słuchaczka stwierdzając, że jej doświadczenia nie są wcale takie złe. – ***Też jestem nauczycielką i długoletnim pracownikiem szkolnictwa. I już wtedy, jak studiowałam, inspektor powiedział mi „po co ty studiujesz dla polskiej szkoły, jak ty nie będziesz mogła dotrzeć do emerytury w polskiej szkole, bo nie będzie już polskich szkół”. A ja w polskim szkolnictwie dotarłam do emerytury. Śledzę to na bieżąco i widzę, że są różne lata. Są lata, że ubywa uczniów, ale na przykład w ostatnich dwóch latach klasy pierwsze mają więcej uczniów, niż miały przed dziesięciu laty*** – optymistycznie twierdziła emerytowana nauczycielka. I tu powstał temat języka używanego na co dzień. Jot zauważył bowiem, że to, w jakim języku prowadzone są zajęcia w szkole niekoniecznie przekłada się na to, w jakim języku jej uczniowie rozmawiają po lekcjach, co nieraz obserwował choćby w pociągu jadącym z Czeskiego Cieszyna w stronę Karwiny. Zastanawiał się, czy sytuacja z polskimi szkołami nie zmierza przypadkiem do sytuacji znanej z choćby anglojęzycznych szkół dla dzieci dyplomatów, w których językiem wykładowym jest angielski, ale po wyjściu z lekcji, w domu, nikt z uczniów się nim nie posługuje. I oby nie było tak z językiem polskim wśród uczniów polskich szkół na Zaolziu... Również siedzący na sali Karol Madzia z Oldrzychowic nie zgodził się z pesymistyczną wizją przyszłości Zaolzia i zaproponował autorowi napisanie kolejnej części, w której zamiast „przyszedłem popatrzeć jak umieracie” będzie „przyszedłem popatrzeć, jak się budzicie”.

W kwestii języka na Zaolziu Irena Adamczyk urodzona, wychowana i nadal mieszkająca w Cieszynie Zachodnim, a pracująca we wschodnim stwierdziła, że u niej w domu zawsze mówiło się po polsku i uważa, że to, czy język polski na Zaolziu będzie żywy, to zależy od nas samych. – Jeżeli my w domu będziemy mówili z dziećmi po polsku, albo polską gwarą, to i nasze dzieci będą mówiły po polsku. Nigdy nie byłam dyskryminowana, ani moi rodzice za to, że posyłali mnie do polskiej szkoły, tak samo mój syn chodził do polskiej szkoły. Syn pracuje po czeskiej stronie i wcale nie ma problemów z językiem polskim – stwierdziła Irena Adamczyk.

Józef Swakoń, prezes koła nr 6 MZC zwrócił uwagę na fakt, że względem 190 tyś Polaków, którzy byli na Zaolziu w 1910 roku dzisiaj, po 90-ciu latach przyznaje się do polskości 30 tysięcy. Przyznał, że choć wiedział od swego taty, że ich rodzina pochodzi ze Stonawy, nic o Zaolziu przez wiele lat nie wiedział. A gdy otworzyły się granice i zaczęła na Zaolziu bywać, wszedł tam z firmą, zaczął poznawać ludzi, to może stwierdzić, że nie liczy się ilość, a jakość. I tak w dyskusji zwrócono uwagę na to, że jakość polskości na Zaolziu rysuje się w bardzo dobrym świetle.

- Jeżeli mówimy o tożsamości, to po naszej stronie jest o wiele gorzej. Ile w szkołach po naszej stronie jest zespołów folklorystycznych, a ile na Zaolziu? Ile pieśnierek znają dzieci po naszej stronie, a ile na Zaolziu? My w tej konfrontacji po naszej stronie przegrywamy – twardo stwierdził Józef Swakoń. – ***My tu mamy Polskę za darmo, tam trzeba o polskość się starać*** – dodał. Zgodził się z nim autor „Hospicjum” przyznając, że, co tyczy się nie tylko Polaków na Zaolziu, ale także wszelkich mniejszości, nie tylko narodowych, że łatwiej jest się dookreślić mając jakieś przeciwności. – ***Jeżeli mieszkamy w Polsce, gdzie używany jest język polski, gdzie wszystko jest po polsku, to my się w ogóle nie zastanawiamy, co to znaczy być Polakiem. Natomiast jeśli ktoś musi o tą polskość walczyć, to wtedy codziennie zadaje sobie to pytanie kim ja jestem. To jest tak, jak chrześcijaństwo w państwach arabskich. Tak samo jest z Polakami na Wileńszczyźnie. To jest z jednej strony trudniej, ale z drugiej strony łatwiej*** – stwierdził Jot.

Żywa dyskusja na temat kondycji polskości na Zaolziu zarówno na sali, jak i już później, przy lampce wina w holu Książnicy dowodzi, że temat jest żywy i budzi zainteresowanie po obu stronach granicznej Olzy, a dzięki systematycznym działaniom dyrektora Książnicy Cieszyńskiej temat Zaolzia staje się coraz bardziej znany rodakom z naszej strony granicy.

(indi)

